

Bernadetta Darska

Nadzieja radykalna – wybór czy konieczność? Współczesność opowiadana w reportażach

XX wiek, zwany wiekiem ludobójstwa, to trudna i odbierająca nadzieję lekcja na temat tego, co człowiek może uczynić innemu człowiekowi. Można by powiedzieć, że stulecie, które nie tak dawno było częścią naszego „tu i teraz”, okazało się i przestrogą, i nauczka. Przestrogą, by nigdy nie wierzyć zbyt mocno, że tak dobrze, jak jest, będzie zawsze. Nauczka, bo czyny pozornie zaprzeczające człowieczeństwu tak naprawdę okazywały się ludzkie. Odbierające nadzieję zło stawało się więc potwierdzeniem, że taki właśnie może być człowiek i że nie trzeba wcale szukać daleko, by obudziły się demony, a sąsiedzi stali się wrogami sąsiadów. Po dwóch wojnach światowych, Holocaulście, Wielkim Głodzie w Chinach, rewolucji Czerwonych Khmerów w Kambodży, ludobójstwie w Rwandzie czy wojnie w byłej Jugosławii wydawać by się mogło, że staniemy się czujni – uważni na to, by nie prowokować sytuacji bez wyjścia, pełni perswazji w stosunku do tych, którzy chcą reagować agresją tam, gdzie można próbować dojść do porozumienia, zachłanni na życie, a więc chroniący siebie i innych przed bezsensowną śmiercią wywoływaną konfliktami. Nadzieja na to, że będziemy musieli szukać siły właśnie w nadziei, okazała się złudna. Dobrze znana rzeczywistość nie tylko ulegała zniszczeniu, ale i prowadziła do uświadomienia sobie tego, że tak naprawdę z każdym wydarzeniem, mającym w sobie wymiar apokaliptyczny, realnie dziejącej się katastrofy, nadchodzi kres. Kres wszystkiego, co jest dobrze znane. Kres, który w przekonaniu Jonathana Leara wpływa na pojawienie się tego, co można określić mianem nadziei radykalnej.

Dobrze znany świat kończy się więc nie tylko w sensie materialnym, ale – co dużo ważniejsze – w sensie etycznym. Przestają obowiązywać zasady regulujące wcześniej relacje w przestrzeni publicznej, dzięki którym mogliśmy czuć się bezpiecznie, spokojnie, pewnie. Nadzieja, jeśli jesteśmy w stanie dostrzec ją na horyzoncie, oferuje fundamentalny z perspektywy przetrwania punkt zaczepienia. Bez

niej nie wydarzy się nic, ale z nią wydarzyć się może wszystko. To nadzieja lokuje nas w przyszłości, w prawdopodobieństwie przeżycia, w możliwości zmiany, która jeszcze kiedyś się wydarzy, w przeczuciu, że to, co teraz, to jeszcze nie koniec, lecz fragment tego, co zakorzenione w przeszłości, będzie miało swój dalszy ciąg w przyszłości. Dzięki nadziei udaje się utrzymać ciągłość i to w nadziei zawiera się fundamentalny dla opowiedzenia się po właściwej stronie opór. Ten opór, który oferuje nam złudzenie, a czasami i pewność, że jednak mamy jakiś wybór, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Częściej jednak nadzieja to częściowo przynajmniej konieczność, dzięki której w nas samych może obudzić się na nowo życie i możemy poddać się akcji ratunkowej. Uwikłanie nadziei w to, co ostateczne, zderza pozornie nieuchwytnie i nie do końca definiowalne z tym, co w sile własnej kategoryczności, odbiera głos i paraliżuje. Mamy więc do czynienia z potyczką dwóch stron pochodzących z innych realiów – symboliki i dosłowności. Bo tak wyglądałyby pozycje zajmowane przez nadzieję i zbrodnię, śmierć, brutalność zagrożenia.

Odzyskiwanie nadziei i praca na rzecz tego odzyskania to konsekwencje wydarzeń XX wieku. Przypominają o nich reporterki i reporterzy, którzy jako dokumentaliści współczesności opowiadają nam świat wokół nas – ten bliski i daleki. Odsłaniają nieoczywisty obraz zła, które tylko pozornie się kończy, bo ludzie, uczestnicy wydarzeń, mają w sobie to wszystko, czego doświadczyli, co widzieli, co byli zmuszeni przeżyć. Przeszłość skrywa się więc za maską teraźniejszości, nadal żyje i oddziałuje, może więc stanowić zagrożenie i nadal rezonuje w wymiarze afektywnym. Wywołuje emocje, za nimi nie raz i nie dwa idą czyny. To, co było, może powrócić, a to, co jest, może okazać się tylko chwilą. Ryzyko takiego przesunięcia domaga się obecności nadziei radykalnej. Tej samej, która pojawia się w reakcji na kres wszystkiego, co dobrze znane. Nadzieja staje się wówczas rodzajem oparcia, pomocną dłońią podaną w momencie, kiedy pojawia się odkrycie żywotności zła, jasnością, która szybko potrafi zniknąć w sąsiedztwie dominującego oddziaływania mroku.

Bo akurat mroku nie brakuje. Widać go chociażby w napięciu towarzyszącym kontaktom ofiar i oprawców w Rwandzie. Jean Hatzfeld w swoich reportażach nie

tylko pokazuje nieprzystawalność światów Tutsi i Hutu, ale i sygnalizuje kluczowy problem współczesności. Czas po ludobójstwie to okres niemożliwego sąsiedztwa, kiedy ci, co mordowali maczetami dzień w dzień po osiem godzin, mijają na ulicach tych, którzy widzieli ich czyny i cudem ocaleli. Tutsi muszą się zmagać z intensywnością pamięci, Hutu zdają się racjonalizować swoje czyny i nie chcą rozpamiętywać tego, co ich zdaniem było słuszne. Dobro nie pokonuje zła. Kiedy zbrodnia dotyczy całego społeczeństwa, trudno ukarać wszystkich winnych, a oprawcy nie tylko nie ponoszą konsekwencji, ale i zaczynają mieć władzę. To, co było może więc powrócić. Nadzieja związana z przyszłością zostaje w tym przypadku unieważniona. Okazuje się nawet bezużyteczna, bo tak naprawdę nowy lepszy świat nie nadejdzie, a zadośćuczynienie staje się czymś niemożliwym. Podobna sytuacja dotyczy Kambodży. Wojciech Tochman w książce „Pianie kogutów, płacz psów” rekonstruuje proces odcinania się od przeszłości. Rządy Czerwonych Khmerów, choć zakończone, to do dzisiaj oddziałują na sposoby komunikowania. Milczenie bywa reakcją na lęk przed tym, co było. Nadzieja staje się w tym przypadku rozpaczliwą próbą uwierzenia, że zło może się skończyć. Z taką niepewną jednak, choć ostatecznie nadal radykalną w wymowie nadzieją konkuruje być może pewność, że raz obudzonego zła jednak nie da się do końca zniszczyć. Nadzieja ratuje, ale nie zawsze do końca ocala. Pamięć rządów Pol Pota na tyle mocno dominuje w społeczeństwie, że nadal wpływa na to, jak zachowują się ludzie. Często nie umieją już patrzeć w przyszłość, tak mocno związani są z przeszłością, tą przeszłością, która dla nich nigdy się nie domknęła i jest ciągle wrośnięta w teraźniejszość. Nadzieja w tym przypadku stanowi rodzaj zawieszania „pomiędzy”, raczej trzyma przy życiu, niż oferuje nowe życie.

Takich miejsc, w których nadzieja ocaliła niektórych przed ostatecznością, ale jednocześnie nie radzi sobie z realiami współczesności, jest wiele. Widać je również w kontekście krajów byłej Jugosławii i tego, jak dawna, wydawałoby się, nienawiść, jest nadal żywa. Jaką pozycję w takiej sytuacji zajmuje nadzieja? Czy wspiera tych, którzy chcą zapomnieć? Czy może tych, którzy pragną pamiętać? Istotne jest również to, co jest pamiętane i co jest ujawniane lub ukrywane. Widać to szczególnie wyraźnie w

reportażu „Grabarki. Długi cień wojny w Bośni” Tainy Tervonen. Pytanie o miejsce pochówku zamordowanych podczas wojny okazuje się wyraźnym zmaganiem się między nadzieją a jej brakiem, poczuciem, że jest się blisko tej fundamentalnej wiedzy, a bezradnością w stosunku do czyjejś odmowy podzielenia się informacją o tym, gdzie znajduje się masowy grób. Tervonen nie tylko pokazuje aktualność przeszłości, ale i dobitnie odsłania stan, w jakim w tej sytuacji znajduje się nadzieja – oferująca siłę, by pytać, i odbierająca moc, kiedy nie ma szansy na odpowiedź. Wojna nie kończy się, dopóki jest nadzieja, że uda się uzyskać odpowiedź i dopóki jest nadzieja, że praca na rzecz pamięci to coś, co nie podlega negocjacjom. Zobowiązanie i konieczność zarazem.

Co jednak zrobić z nadzieją, kiedy wszystko wokół mówi, że nie ma ona większego sensu? Kiedy nadzieja zawodzi, a przecież ma tak naprawdę zaoferować wsparcie i pewność przetrwania? Ile nadziei wystarczy, by pokonać to, co niszczy z wewnątrz i z zewnątrz? To oczywiste, że moce obliczone są inaczej na każdego człowieka. Bywa, że nadzieja jako konieczność da ratunek na chwilę, a potem okazuje się czymś niepotrzebnym, bo już nie wywierającym żadnego wpływu na człowieka. Nadzieja radykalna musi być siłą nie do ogarnięcia. Da wsparcie każdemu, ale i nie każdego obejmie w opiekę w taki sam sposób. Uratuje, ale i czasami porzuci. Da dużo siły, wesprze w słabości, uświadomi, że da się niekiedy wygrać tylko dzięki przetrwaniu. I że przetrwanie to tylko tyle i zarazem aż tyle. Wystarczy wspomnieć historie gwałconych kobiet. Gwałconych na całym świecie, co w swojej książce „Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom” opisuje Christine Lamb. Lista oprawców nie ma końca – bojownicy ISIS, terroryści z Boko Haram, birmańscy żołnierze, pakistańskie wojsko, mężczyźni Hutu w Rwandzie, Serbowie podczas wojny w byłej Jugosławii, frankistowskie wojska w Hiszpanii, Rosjanie w Berlinie, kiedy kończyła się II wojna światowa, żołnierze w Argentynie podczas dyktatury wojskowej i wielu, wielu innych. Chcą zapanować nad kobietami, by nie tylko je upokorzyć i zadać ból, ale także po to, by odebrać im nadzieję. Pozostawiają swoje ofiary przy życiu po to, by doświadczały na co dzień umierania. A jednak nadzieja oprawców na zniszczenie bywa przełamana nadzieją ofiar na przetrwanie. Niekiedy to

one, słabe, pogardzane, rodzące dzieci z aktu nienawiści wygrywają. Bo choć nie obwieszczają swojego zwycięstwa wszem i wobec, po prostu żyją dalej. Mają nadzieję na chwilę, na dzień, na jutro. Na to, że z godziny na godzinę życie je przytrzyma i zatrzyma, uratuje przed śmiercią.

Skąd wziąć nadzieję, jeśli nie może jej nam dać drugi człowiek, jeśli wszystko wokół zaprzecza szansie na dobre zakończenie, jeśli okrucieństwo i koniec dobrze znanego świata zaczynają być czymś oczywistym, do czego trzeba się przyzwyczaić? To pytanie, które prawdopodobnie zadają sobie wszyscy doświadczający zła, ale i pytanie, które jest codziennością Ukraińców. Na wojnę, wbrew temu, co nam się często sugeruje w mediach, nie da się przygotować. Jeśli wojna nadchodzi, zawsze zaskakuje – brutalnością wtargnięcia w zwyczajność, agresywnymi dźwiękami, których wcześniej wokół nie było słychać, zniszczeniem tego wszystkiego, co w czasie pokoju wydawało się mało istotne i niezauważalne, a w chwili utraty staje się ważne i godne przetrwania. Małe, drobne, brzydkie, oglądane obojętnie dzień po dniu raptem zyskuje inne znaczenie. Okazuje się świadectwem utraconego świata. Obrazem utraconym. Wspomnieniem nie do końca uświadomionym, bo wcześniej ignorowanym, a teraz znaczącym. Kluczem do nadziei, dzięki której kiedyś możliwe będzie odtworzenie naszej rzeczywistości, choć zapewne tylko w wymiarze symbolicznym. Zniszczonego nie da się odzyskać. Ale nadzieja pozwala uwierzyć w powstanie naszego świata tam, gdzie dzisiaj już go nie ma. To właśnie nadzieja jest w tym kontekście czymś radykalnym w swojej niezbędności i przydatności. Dzięki niej da się z wojną żyć, da się oswajać strach, da się wreszcie myśleć, że przyszłość jednak będzie inna od teraźniejszości.

Jaka jest rola nadziei, kiedy ktoś jest zmuszony patrzeć na śmierć? Nagłą, przypadkową lub celową, na życie nagle przerwane przez ostrzał drona lub kulę snajpera. Czy nadzieja może przeważać w chwili, w której właśnie brak nadziei jest wyjątkowo mocno odczuwalny? Kiedy ofiary patrzą na „kłopotliwe miejsca” (to określenie Jonathana Littella) lub „skażone krajobrazy” (jak je nazywa Martin Pollack), czy są w stanie zapamiętać momenty przejścia – to dawne naznaczone porządkiem i bezpieczeństwem, to dzisiejsze naznaczone chaosem i ruinami i to

przyszłe odbudowane i odzyskane? Takie i inne pytania pojawiają się w kontekście życia na co dzień z wojną i podczas wojny.

Paweł Pieniążek w swoich reportażach dobrze eksponuje momenty, które są nagłe i nieprzewidziane, a jednak przynoszą ostateczność, odbierającą możliwość świadomego przeżywania i zapamiętania. To między innymi dlatego tak ważne jest działanie, które pozwala uchwycić to wszystko, co dzieje się „pomiędzy”, co daje szansę na utrwalenie procesu niszczenia, ale i odbudowy, co oferuje możliwość przeciwstawienia się wojnie poprzez celebrowanie zwyczajnego życia. Ta zwyczajność – pójście do kawiarni, spotkanie z przyjaciółmi, śmiech z czyjegoś żartu, zabawa z dzieckiem, pyszny obiad, planowanie czegoś – urastają do rangi realnych aktów oporu. Dla ich zaistnienia i skuteczności oddziaływania potrzebna jest nadzieja. Radykalna właśnie, dzięki której każdy zawalczy o swój świat na własnych zasadach. Jeden da z siebie mniej, bo więcej nie jest w stanie, inny da bardzo dużo, bo może i umie, ale razem – razem z nadzieją – spróbują przeciwstawić się złu, które rozpanoszyło się tak bardzo, jakby miało być na zawsze. W czasie wojny głos prosto z frontu miesza pisanie autobiograficzne z reporterskim. Granica między tymi dwoma sposobami opowiadania rzeczywistości często jest wymazywana. Realia ukraińskie od dawna – bo jeszcze z okresu zajęcia Krymu przez Rosję – doskonale zna Paweł Pieniążek. Słucha innych i oddaje im głos, ale też jest blisko tego wszystkiego, co opisuje. Siergiej Siergiejewicz „Sajgon” w „Brudzie [*khaki]” portretuje brutalny frontowy świat, pełen dramatycznych momentów, dosadnych słów, które definiują codzienność, i bezsilności. Naturalistyczny obraz oferowany czytelnikowi to świat, w którym nie ma miejsca na myślenie o nadziei. Czy to oznacza, że jej tam nie ma? Czy że niewyrażona wspiera, zwłaszcza w tych chwilach, w których nie ma szansy na pozytywne rozwiązanie? Ołeksandr Myched w „Kryptonimie dla Hioba” opowiada również o dzieciach jako ofiarach wojny. Zastanowienie się nad tym, jak wojna odbiera dzieciństwo i uczy takiej codzienności, która przecież w czasach pokoju byłaby aberracją, pokazuje konsekwencje, których nie da się cofnąć. Nadzieja w tym wypadku musi zawalczyć o całe pokolenie. O przeszłość – tę, która dzisiaj nawet się nie rysuje na horyzoncie.

Jeśli więc mówić będziemy o nadziei radykalnej, zawsze obok odsłoni się czyjś koniec świata. Czasami apokalipsa dotyczyć będzie całej zbiorowości, zdarzy się, że tylko jednostki. W obu wypadkach mamy do czynienia z sytuacją szczególną. Doświadczana katastrofa odsłania podatność na siłę nadziei, przydatność nadziei i jej wyjątkową potrzebę. Zawsze. W sprawach małych i dużych. Bo w przypadku nadziei przestaje mieć znaczenie rasa, klasa, ekonomia czy opozycje między prywatnym i publicznym oraz dominującym i marginalizowanym. Koniec świata – obojętnie, czy w skali mikro czy makro – zawsze wiąże się z potrzebą ratunku. I nadzieja ten pierwszy, podstawowy, najważniejszy ratunek oferuje. Symbolicznie ulega upodmiotowieniu, choć tak naprawdę dopiero w relacji z człowiekiem i dzielona we wspólnocie staje się siłą sprawczą. Kluczowe w tym kontekście staje się dostrzeżenie. Uznanie nadziei nie tylko za deskę ratunku, ale za niezbędną część własnej tożsamości. Wtedy przetrwanie okaże się – być może – oporem zmieniającym układ sił. Słabość wygra, bo będzie za nią stała radykalna nadzieja. Brutalność i okrucieństwo okażą się nieskuteczne, bo w swojej pysze nie rozważą nawet możliwości porażki. W efekcie radykalna nadzieja pomoże ocalonym i ofiarom podnieść głowy i przeciwstawić się temu, co wydawało się niepokonane. Bo dzięki radykalnej nadziei odzyskujemy wiarę w niezbędność następującego przekonania – by świat trwał dalej, to jasność musi unieważnić mrok.